Nr. 11. Kraków, w listopadzie 1902 r. Rok III.



PRZODOWNICA

Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

29 Listopada 1831 r.

Po trzecim rozbiorze Polski, dokonanym w roku 1795, naród polski kilka razy chwytał za broń, aby wywalczyć niepodległość, którą mu wrogowie wydarli; lecz po każdej takiej walce przybywało mnóstwo ofiar, lała się krew, a ci, co nie polegli w obronie wolności, uchodzić musieli za granicę. Jedną z tych walk pragnę wam, moi kochani czytelnicy, dziś przedstawić, abyście, przypomniawszy sobie tę bolesną rocznicę, tem więcej ukochali tę ziemię polską, która tyle krwi polskiej w sobie mieści i brali przykład z poświęcenia ojców naszych, którzy nietylko mienie, ale i życie kładli na ołtarzu wolności narodowej.

Rok 1830 nietylko dla nas jest pamiętnym, bo w tym roku także Francya, Belgia i Grecya chwyciły za oręż, chcąc się uwolnić od ciemiężców. Wolność narodowa była hasłem wszystkich ludzi szlachetnych. Polacy, kochający nadewszystko wolność, postanowili podnieść oręż przeciw Moskalom.

Po upadku Napoleona, monarchowie na zjeździe w r. 1815 w Wiedniu postanowili, aby Księstwo Warszawskie w r. 1807 przez Napoleona utworzone, zamienić na Królestwo Polskie i podarować je Moskalom. Car Aleksander I. koronował się na króla polskiego. Na pozór, chcąc sobie Polaków zaskarbić założył uniwersytet w Warszawie, aby się w nim uczyli Polacy. Na Litwie zaś inne stosunki panowały, gdyż Litwa do Królestwa Polskiego nie należała, w Wilnie gubernator carski Nowosilców prześladował młodzież szkolną, a namiestnik carski W. Ks. Konstanty, despota, gwałtowny tak dokuczał żołnierzom polskim, że ci w rozpaczy życie sobie odbierali.

Wyczerpała się tedy cierpliwość narodu, który widząc jak inne ludy walczą za wolność, postanowił także wydobyć się ze szponów rosyjskich ciemięzców.

W stolicy Królestwa Polskiego w Warszawie, gdzie w pałacu, zwanym Belweder,

mieszkał W. Ks. Konstanty, wrzało jak w kotle, lud zaczął głośno szemrać, domagając się wolności i swobody. Istniała w Warszawie szkoła podchorażych, w której młodzież polska kształciła się na oficerów wojska polskiego; otóż 17 młodzieńców z tej szkoły postanowiło napaść na pałac W. Ks. Konstantego i uwięzić go, a tem samem zacząć powstanie.

W dniu 29 listopada 1830 roku Trzaskowski, Kobylański, Nabielak. Goszczyński, Niemojewski, Rupniewski Roch i Nikodem, Orpiszewski. Jankowski, Nasiorowski. Paszkiewicz. Poniński, Trzciński, Rottermund, Świętosławski. Krosnowski, Xettel i Kosiński w nocy wpadli do Belwederu z okrzykiem „śmierć tyranowi“ i zaczęli szukać Konstantego. ale W. książę umknął w przebraniu swej żony. Piotr Wysocki i stu sześćdziesięciu podchorążych uderzyło równocześnie na koszary ułanów, a po przebiciu się przez ich szeregi, połączyli się z owymi siedemnastoma i poszli na miasto.

Hasłem do powstania miał być ogień zapalony na Solcu, przedmieściu Warszawy, co gdy późno uczyniono. Moskale wczas powiadomieni, stanęli w szyku bojowym. Po zdobyciu arsenału, t. j. składu broni, oficerowie polscy rozdali 40.000 karabinów ludowi, na którego czele stanął Bronikowski. Więźniów politycznych uwolniono, zapełniając więzienie Moskalami.

Naczelnym wodzem wojska polskiego mianowano Józefa Chłopickiego, do Rządu tymczasowego powołani zostali: Władysław Ostrowski. ks. Adam Czartoryski, Joachim Lelewel, Wincenty Niemojewski i Walenty Zwierkowski. Rząd tymczasowy, nie mogąc należycie kierować umysłami ludu, oddał najwyższą władzę, nieograniczoną. cywilną i wojskową generałowi Chłopickiemu w dniu 5-go grudnia 1830 roku. Nadzieja. pokładana w generale Chłopickim zawiodła, gdyż ten nie chciał podzielać zapału narodu do walki z wrogiem, lecz ostudzał ten zapał, nietylko nic nie zdziałał, ale zmarnował czas na układach z carem Mikołajem, posłał nawet od siebie posła do cara z przedstawieniem, aby car połączył Litwę, Wołyń i Podole z Królestwem Polskiem, o czem car nawet słyszeć nie chciał; wojska zbierał i do Polski je posyłał. Armia rosyjska składała się ze 150.000 ludzi, gdy tymczasem polska armia, w chwili wybuchu powstania, liczyła 28.000 ludzi.

Naród polski, widząc nieudolność Chłopickiego, przedstawił mu zgubne jego działanie, tenże zgniewany złożył godność dyktatora dnia 23 stycznia 1831 r. Sejm polski w parę dni w Warszawie zebrany, ogłosił usunięcie cara Mikołaja i jego rodziny z tronu polskiego.

Po Chłopickim wybrano naczelnym wodzem Michała Radziwiłła, ten był zacny, ale na wodza nie miał żadnych zdolności.

Armia polska, licząca wówczas 70.000 żołnierzy, oczekiwała w bezczynności, podczas gdy gen. rosyjski Dybicz, dążył z wojskiem liczącem 120 tysięcy moskali.

Dnia 14 lutego 1831 roku generał Józef Dwernicki mając 2.100 żołnierzy, zadał klęskę Moskalom pod Stoczkiem i zdobył jedenaście armat. Moskale mieli 4.600 jazdy.

Zwycięstwo pod Stoczkiem napełniło otuchą wszystkie serca.

Dnia 25 lutego zaszła pamiętna bitwa pod Grochowem, gdzie przeciw 70 tysiącom Moskali walczyło niespełna 50 tysięcy Polaków. Cały dzień toczyła się ta walka, a szło o zdobycie lasku olszynowego, który Moskale kilka razy zdobywali i stąd znów wyparci zostali. Tu się okrył sławą polski pułk pieszy czwartaków. Chociaż naczelnym wodzem był książę Radziwiłł, to jednak zwycięstwo pod Grochowem przypisać należy Chłopickiemu, który całą bitwą kierował, podczas tego zabito pod nim dwa konie, a granat ranił go ciężko w obie nogi, tak, że musiano go unieść z pola walki, i tem tłumaczy, że Polacy nie odnieśli żadnych korzyści z tej walki. Przekonawszy się jednak o nieudolności Radziwiłła, oddano dowództwo generałowi Skrzyneckiemu dnia 28 lutego 1831 roku, który chociaż posiadał zaufanie u Polaków i choć miał przytomność umysłu i niepospolite zdolności wojskowe, lecz niestety i on zawiódł nadzieje narodu w nim pokładane.

Skrzynecki, jak Chłopicki, pragnął drogą układów zakończyć powstanie i porozumiewał się z feldmarszałkiem Dybiczem, marnując czas, z czego Moskale korzystali i zbliżali się ku Warszawie.

Generał Ignacy Prądzyński nakłonił Skrzyneckiego do wydania bitwy Moskalom, w której Polacy odnieśli zwycięstwa. I tak: dnia 31 marca pod Wawrem, a 1 kwietnia pod Wielkim Dębem. Moskali poległo 11 tysięcy, a do niewoli zabrano ich 5.000, zaś broń, amunicya i kilkanaście armat dostało się Polakom.

Zwyciężono również Moskali pod Iganiami dnia 10 kwietnia. Powstanie rozwijało się w całej Polsce, na Rusi, na Wołyniu. Chłopi na Żmudzi, gdy ich chciano brać w rekruty, woleli iść do powstania, niż do wojska rosyjskiego.

A że na Litwie był zapał niesłychany, dowodem tego, że na czele oddziału stanęła kobieta, Emilia Plater, która wraz ze stryjem swoim Cezarem Platerem mężnie walczyła pod Przysłowianami, Kownem, Szawłami i Szawlanami.

Generał Dezydery Chłapowski z 2.000 ludzi wspomagał te oddziały, a za waleczność mianował Platerównę pułkownikiem.

Chłapowski dzielnie walczył i byłby zdobył Wilno, gdyby nie niedołęstwo Giełguda, naczelnego wodza litewskiego, który po zwycięstwie pod Rajgrodem, pod Wilnem został przez Moskali pobity i w dniu 14 lipca 1831 przekroczył granicę pruską i broń złożył. To samo uczynić musieli Chłapowski i Platerówna.

Na Wołyniu i Podolu dowodził Różycki, któremu poszedł w pomoc generał Dwernicki z 4.000 żołnierzy i obaj pod Boremlem zadali klęskę Moskalom, ale potem otoczeni przez 20.000 Moskali, przekroczyli granicę austryacką i dnia 27 kwietnia 1831 r. we wsi Klebanówce broń złożyli.

Kiedy armia rosyjska już się połączyła, postanowił Skrzynecki wydać im bitwę pod Ostrołęką, w której 8.000 Polaków padło, a nadto samych oficerów 270, między nimi generałowie Ludwik Kicki i Henryk Kamieński, a generał Krasicki dostał się do niewoli.

Pod Ostrołęką odznaczył się dzielnie generał Józef Bem, który kierując działami polskiemi, siał zniszczenie w szeregach Moskali.

Klęska pod Ostrołęką wywołała słuszne rozgoryczenie wojska i narodu przeciw wodzom.

Rosyjski feldmarszałek Dycicz umarł na morową zarazę, a na jego miejsce stanął Jan Paszkienin i ten objąwszy dowództwo nad Moskalami, dążył do Warszawy.

Generał Skrzynecki choć miał sposobność zniszczyć wojsko moskiewskie, nie uczynił tego i pozwolił im zbudować mosty na Wiśle, a gdy nie uderzył na Moskali, tylko robił porządki niepotrzebne w wojsku, Rząd Narodowy zamianował naczelnym wodzem Henryka Dembińskiego, który z pod Wilna przybył do Warszawy, ale i on zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Napierany przez Moskali cofał się ku Warszawie, za nim szli Moskale, chcąc oblegać miasto.

Po Dembińskim objął w Warszawie naczelne dowództwo generał Jan Krukowiecki.

W drugiej połowie sierpnia zaczęto się sposobić do obrony Warszawy. Ściągnięto 50.000 wojska i przygotowywano środki obronne.

Otucha taka panowała w sercach mieszkańców Warszawy, że Moskale choć dwa razy większą siłę wojska mieli, nie zdobyliby byli Warszawy.

Generał Hieronim Ramorin z 19.000 żołnierzy wspólnie z korpusem generała Tomasza Łubieńskiego miał polecenie zgromadzić żywność do stolicy. Wysłanie takiej ilości wojska z Warszawy znacznie osłabiło jej siły obronne, to też po dwukrotnym szturmie przypuszczonym do miasta, Krukowiecki poddał ją dnia 8 września 1831 za co ściągnął na siebie przekleństwo narodu.

Po upadku Warszawy, mianowany Rybiński wodzem, przeszedł dnia 4 października granicę pruską.

Generałowie nie chcieli się bić, a na trzydziestu siedmiu obecnych na radzie wojennej, siedmiu tylko głosowało za powstaniem a 30 przeciw, wobec tego 60.000 wojska polskiego złożyć musiało broń na granicy austryackiej i pruskiej.

Dnia 7 października poddała się Moskalom twierdza Modlin a dnia 11 października Zamość.

Tak powstanie polskie, podjęte w celu wywalczenia niepodległości i wolności narodowej, przez nieudolność wodzów upadło i tyle krwi bohaterskiej się polało, tyle mogił przybyło, a tysiące zapędzono w mroźne śniegi Sybiru; a jednak ci wszyscy, którzy podnieśli oręż na wroga, którzy polegli, czy to na polu bitwy, czy to w mroźnym Sybirze, posiadali w swych sercach miłość Ojczyzny.

O! kochani Czytelnicy, bierzcie przykład z tych bohaterów i naśladujcie ich w tej miłości, a Pan Bóg da nam ten dzień trzeci, który ma być z trzeciem wzięciem Warszawy, ale nie ma zejść, on ma zostać, ten dzień tak pożądany, tak oczekiwany, taką ilością krwi polskiej wyproszony, tyloma pieśniami opiewany. *Piotr z Krakowa.*

1902 1902

Jubileusz Maryi Konopnickiej.

»Wielkie święto poezyi polskiej« święciliśmy w Krakowie, dokąd jubilatka dnia 18-go października popołudniowym pociągiem przyyła. Uroczystość przybrała cechę bardzo szeroką i przez to zyskała na serdeczności, a mimo to nie straciła poważnego tonu, który odczuli uczestnicy jubileuszowi i uszanować go potrafili.

Od tej chwili miasto ogarnął świąteczny nastrój. Objawił się on wzmożonym ruchem na ulicach i jakiemś wyjątkowem podnieceniem, które zwykle udziela się naszemu ogółowi w przededniu podniosłych narodowych obchodów. W wieczornych godzinach publiczność rozchwytywała pamiątkowe numery dzienników, poświęcone uczczeniu jublileuszu poetki, poczem tłumnie udała się do teatru miejskiego, gdzie się odbyła pierwsza wstępna część uroczystego obchodu.

Widownia zapełnioną była po brzegi. Wszyscy zapragnęli ujrzeć jubilatkę, która tego wieczora, po raz pierwszy ukazać się miała.

Nazajutrz w niedzielę d. 19 października po nabożeństwie w kościele N. P. Maryi, główny obchód odbył się w sali Sokoła. Tu już od wczesnego rana stały tłumy publiczności. Salę pięknie ozdobiono i ustrojono w zielone girlandy, w kwiecie i kłosy zbóż. Na podwyższeniu ustawiono baldachim, z wzorzysto tkanej materyi, spartej na dwóch kosach... Pod baldachimem krzesło dla Konopnickiej... Obok poskładano wieńce, bukiety, dary, a między nimi prześliczna skrzynka z adresem od narodu.

Na sali tłumy — około 3000 osób; drugie tyle okala gmach Sokoła i przylegający plac. Ścisk niesłychany. Olbrzymia sala wypełniona tłumami.

Około godziny pół do 12 dały się z ulicy Wolskiej słyszeć okrzyki: »Niech żyje!«, wśród których posuwał się pojazd, zaprzeżony w dwa białe konie. Krakus w granatowej kerezyi i czerwonej czapce, strojnej w pawie pióra siedział na koźle. W powozie Marya Konopnicka w towarzystwie pani Maryi Siedleckiej.

Konopnicka, zobaczywszy licznie przed gmachem Sokoła zebrany lud wiejski, stanęła i z powozu przemówiła do włościan, wyrażając radość, że widzi ich w tak wielkiej liczbie. Pierwsi więc włościanie przywitali ją gorącym okrzykiem »Niech żyje!« Poczem weszła do sali, cała biało ubrana. Przeszła przez szpaler, zdążyła na podniesienie i tu usiadła na fotelu pod baldachimem, w otoczeniu swoich córek, syna i przyjaciółki Maryi Dulembianki.

I nagle tłum rozruszany, gwarzący, ucicha, a gromki okrzyk: »Niech żyje!« rozpiera salę Sokoła. Po wspaniałym polonezie odegranym przez orkiestrę i kantacie na chór mięszany, przemawia prezes komitetu, p. Bartoszewicz w te słowa:

Dostojna Pani!

W imieniu komitetu, który się zajął urządzeniem Twego jubileuszu, składam Ci najserdeczniejsze dzięki za to, że uczyniłaś zadość naszym najgorętszym pragnieniom i stanęłaś wśród nas w chwili uroczystej zarówno dla Ciebie, jak i dla tych wszystkich, dla których dzień dzisiejszy jest świętem poezyi narodowej.

Poezya, ten najcudniejszy kwiat umysłowej twórczości, stanowi sławę i chlubę każdego narodu, dlatego też otacza ją cześć i wdzięczność całych społeczeństw.

Do tej wdzięczności nasza poezya ma prawo wyjątkowe.

Odkąd ulegliśmy brutalnej przemocy, poezya narodowa stała się potężnym czynnikiem naszego życia i odrodzenia. Karmicielka całych pokoleń, pocieszycielka w chwilach bólu i zwątpienia, apostołka jedności i miłości narodowej, od stu lat blizko jest dla nas jedną z gwiazd przewodnich wśród strasznej, ciemnej nocy niewoli. Przedzierała się jako światło do lochów więziennych, ogrzewała serca wygnańców pod mroźnem niebem Sybiru, bywała to gołębicą, dobre wieści niosącą, to balsamem na rany, to stróżem i sędzią sumienia narodowego. Pieściła i karciła, wzywała do pokuty i niosła nagrodę szlachetnym czynom, błogosławiła na bój i kładła swe białe, czyste dłonie na czoła zmęczonych trudem walki. Naród nasz złożył w swej poezyi całą swą duszę — jest ona odbiciem wszystkich jego porywów, marzeń i pragnień, wszystkich jego tak rzadkich chwil promiennych i wszystkich tak częstych, niestety, dni klęsk i niepowodzeń.

Pieśń polska ukochała namiętnie swój naród, i wdzięczny naród pieśń swoją ukochał.

Więc ile razy nadejdzie jej święto, wszystkie dusze wierzące i miłujące wiążą się w bratnie koło, aby razem i zgodnie obchodzić tę chwilę uroczystą.

Dzień dzisiejszy jest takiem świętem.

Społeczeństwo nasze odczuło obowiązek uczczenia 25-letniej Twej pracy, Dostojna Pani, bo widzi ono w Tobie prawowitą spadkobierczynię największych wieszczów naszych, bo jesteś, jak się wyraził mistrz słowa, »ptakiem szerokoskrzydłym, drzewem, które wysoko wystrzeliło w rodzinnym lesie, sławą wielką i jasną, pieśniarką, duchem i mową władną«.

Lutnia, którą odziedziczyłaś, w rękach Twoich brzmi całą pełnią tonów. Umiesz na niej śpiewać i płakać, umiesz nucić jak szara ptaszyna i grzmieć głosem piorunowym.

Owładnęłaś mistrzostwem formy, stałaś się panią, władczynią wszystkich skarbów naszego języka.

Za to Ci cześć i chwała — ale jeszcze nie prawo do miłości.

Prawo to zdobyłaś sercem swojem.

W początkach swej twórczości złożyłaś przyrzeczenie:

Ja będę latać jako ptak zraniony
Nisko nad ziemią tą, co w bolach kona
Bym mogła objąć z miłością w ramiona
Smutnych miliony!

I dotrzymałaś tego przyrzeczenia. Pieśń Twa obejmowała z miłością w ramiona miliony biednych, opuszczonych upośledzonych. A tylko wielkie serce do takiej miłości jest zdolne — do serc małych nie dochodzą jęki nieszczęśliwych, obojętną im jest ciężka walka wydziedziczonych o kawał chleba, o promyk szczęścia, o prawo do życia.

Ale największą, świętą miłością objęłaś lud polski. Stałaś się jego orędowniczką, jego trybunem w poezyi naszej.

A miłość tego ludu kojarzyła się w Tobie z miłością całego narodu. Pieśń Twoja przepowiadała:

Zmartwychwstanie tym ziarnom co w roli
Przebyły zimę wiekowej niewoli.

Więc też ukochany przez Ciebie naród — odpłaca Ci za miłość miłością.

W jubileuszu Twoim, Dostojna Pani, biorą udział wszystkie prowincye naszej na trzech krzyżach rozpiętej Ojczyzny. Przybyli tu do Ciebie delegaci miasta, które było dawniej stolicą narodu, a jest dzisiaj strażnicą najdroższych pamiątek naszego narodu — a obok nich są delegaci z tej drugiej stolicy, dziś żałosnej wdowy, która widziała wielki dzień Trzeciego Maja i wielką noc listopadową. Odbierzesz kwiaty uczucia z Ukrainy i usłyszych echo miłości z tej ziemi, która wydała największego bohatera i największego poetę narodowego. Staną przed Tobą i przedstawiciele tej pramacierzy, która widziała majestat Chrobrych, a obecnie rodzi dzieci wrześnieńskie. Dojdą do Ciebie głosy z ziemi podlaskiej, której synowie krwią bronili wiary ojców. Biorą w uroczystości udział wszystkie stany i warstwy. Reprezentacya krajowa złożyła Ci już hołd, stanie dziś przed Tobą najwyższa instytucya naukowa; przyjdą zakłady i stowarzyszenia, przyjdzie młodzież, a rodzice przyprowadzą dzieci, których proste serduszka chciały podziękować Ci za składane dla nich piosenki. Przyszły do Ciebie tłumy polskiego ludu, które, gdyś tu przybyła, tak serdecznie Cię witały. Ten był największą miłością Twoją, ten też jest największą naszą nadzieją. Lud ten dumny z kos racławickich skłania przed Tobą głowę, boś Ty jego najlepszą przyjaciółką. Oprócz hołdu, jaki Ci złoży nasze społeczeństwo, usłyszysz i hołd z pobratymczej ziemi.

Komitet, który się zajął urządzeniem tej uroczystości, stał się poniekąd pośrednikiem pomiędzy Tobą a społeczeństwem. Wyrazem tego pośrednictwa jest adres, opatrzony tysiącami podpisów, który jest schowany w tej oto skrzyni chłopskiej. Ona, jak sądziliśmy, będzie symbolem Twojej miłości i pracy dla ludu. Prócz tego wręczamy Ci zbiór Twoich utworów, które przygotował i wydał komitet i oddaje Ci, jako Twoją własność.

Komitet sądzi, że ma prawo imieniem całego ogółu złożyć Ci, Dostojna Pani, życzenia, abyś doczekała złotych godów, z pod Twojego pióra wychodziły same tylko pieśni radosne, opiewające tryumf prawdy i sprawiedliwości, lepszą dolę Twego ukochanego ludu i świt narodowego zmartwychwstania. (Huczne oklaski i okrzyki).

Gdy umilkły oklaski nastała chwila porywająca, rzewnością i majestatem wspaniała. Zaczęto wywoływać delegacye: Więc najpierw przyszedł prezydent Friedlein imieniem Rady miasta Krakowa, potem wystąpiła delegacya polskiej »Almae Matris« t. j. Uniwersytetu Jagiellońskiego, po niej Akademia Umiejętności, potem delegacye ze wszystkich ziem polskich, rozerwanych granicami politycznemi. Zewsząd, dokąd dotarło słowo wielkiej poetki narodowej, odezwało się potężne echo. — I składali hołdy, dary i adresy wielcy i mali, uczeni i prostaczkowie, wyrażając hołd i uznanie dla Tej, która w tej chwili święciła wielkie gody pieśni polskiej.

Głośne oklaski dały się słyszeć i powtarzały się ciągle, gdy przed Konopnicką stawały deputacye z Królestwa Polskiego i Księ-

stwa poznańskiego. Więc najpierw deputacya z Warszawy wręczyła śliczny bukiet z kłosów, przepasany pasem słuckim; deputacya pań z Warszawy wręczyła kwiaty; deputacya akademików z Warszawy adres w szkarłatnej oprawie; delegacya studentów politechniki warszawskiej. Pełnemi zachwytu oklaskami przyjęto składającą hołd jubilatce deputacyę dzieci warszawskich, delegacye z Litwy, z Ukrainy i Zaporoża, z Kalisza, Łodzi i Kijowa, delegacyę ludu lubelskiego. P. Władysław Rabski wręczył adres od Redakcyi *Kuryera Warszawskiego*, imieniem księgarzy warszawskich wspaniałe dary.

I znowu oklaski, bo oto pani Tułodzecka składa dary imieniem poznańskiego komitetu jubileuszowego, imieniem kobiet poznańskich, w imieniu Czytelni kobiecej w Poznaniu. Pani Janina Omańska składała dary imieniem nauczycielek poznańskich, piękne album z podpisami dzieci poznańskich i t. d.

Stanęły potem przed Konopnicką 3 włościanki z Bytomia na Śląsku. Konopnicka rozczulona uścisnęła każdą i ze łzami w oczach wołała: »O moje Ślązaczki!«

Imieniem wszystkich towarzystw polskich w Berlinie p. Karol Rose wręczył jubilatce kilka adresów.

Wreszcie stanęła przed jubilatką deputacya chłopów z krakowskiej ziemi, złożona z posła Bojki, przewodniczącego komitetu włościańskiego Wójcika, poety Lucyana Rydla i artysty Malarza Włodzimierza Tetmajera. Ostatni przemówił ofiarując skrzynię z prześlicznym krakowskim strojem wiejskiej kobiety.

»Czcigodna Pani! Przynieśliśmy Ci, Pani, imieniem polskiego ludu skromną skrzynkę chłopską, prostą chłopską skrzynkę. Ta skrzynia nie zawiera skarbów, ale jest obrazem tego, co zawiera serce polskiego chłopa, bo tam w tej skrzyni siedzi klejnot energii życia na przyszłość, o którym Pani nieraz śpiewałaś. Ten klejnot — to jest nasza nadzieja — w tej skrzynce jest on jako obraz! Niech więc go Pani przyjmie od nas w darze. (Oklaski).

Kolejno stawały następnie przed Konopnicką i składały adresy, dary i dyplomy: dr. Karol Lewakowski imieniem Muzeum Narodowego w Rapperswylu; delegacya młodzieży polskiej kształcącej się w Paryżu; delegacya stowarzyszenia młodzieży polskiej za granicą; delegacya lwowskiego komitetu jubileuszowego, lwowskiej Czytelni dla kobiet, lwowskiego Koła kobiet; Koło kobiet w Kołomyi; Rada powiatowa bialska; delegacye z Żywca, Oświęcimia, Brzeska, i Kęt (jedna pani z Kęt wypowiedziała wiersz); młodzież lwowska; Bratnia Pomoc akademików lwowskich; delegacya szkoły haftów w Makowie; delegacya lwowskiej »Eleuteryi« t. j. stowarzyszenia wstrzemięźliwości; Krakowska Czytelnia dla kobiet; delegacya Rady m. Podgórza.

A teraz wystąpiło kilka włościanek z ziemi krakowskiej — ze Śląska, z Galicyi — i te wraz z redaktorką *Przodownicy*, p. Siedlecką wręczyły jubilatce prześlicznie oprawną tekę, w której złożone były: 3 złotemi literami drukowane jubileuszowe numery gazetki i wszystkie te kartki, na których Wy, kochani Czytelnicy podpisywaliście dla Maryi Konopnickiej w hołdzie swe życzenia, wiersze lub nazwiska. Był to jeden z najmilszych dla jubilatki darów, bo serc Waszych szczerych. Jubilatka Czytelniczkę *Przodownicy* Magdalenę Torbiankę, która wręczyła jej wieniec z kłosów i do niej wierszem przemówiła, uściskała i ucałowała.

Dalej wystąpiły delegacye: Stow. nauczycielek w Krakowie; Krak. Koła liter.-artystycznego; Akademii Sztuk piękn.; teatru miejskiego; krak. teatru ludowego; Tow. muzyczn. w Krakowie; Tow. Szkoły ludowej; kursów dla kobiet im. Baranieckiego; słuchaczek Uniwersytetu Jagiellońskiego; dziatwy z Podgórza; Koła artystek polskich. Osobna delegacya krakowskiego Sokoła powitała jubilatkę.

Dalej wystąpiły delegacye młodzieży szkół średnich w Krakowie; gimnazyum żeńskie; Czeska Beseda w Krakowie; Uniwersytet ludowy; dzieci z górnego Śląska; Tow. pomocy naukowej dla Polek im. Kraszewskiego; górale z Poronina i Zakopanego, z Nowego Sącza i t. d.

W powłóczystej, białej szacie stanęła teraz Konopnicka przed morzem głów ludzkich i w natchnionych, podniosłych słowach odezwała się do przedstawicielstwa narodu:

Dziękuję Wam! — rzekła. — Dziękuję Wam za ten dzień jasny, któryście mi zgotowali. Dziękuję Wam za gorące serce, za wyciągniętą do mnie dłoń, za to wzruszenie, które na twarzach Waszych widzę, a którem sama do głębi jestem przejęta.

Dziękuję nadewszystko za to, żeśmy tutaj wszyscy razem, że nas nie rozgraniczyły granice, ani nie rozdzieliły podziały, że nie brakuje nikogo, tych nawet, co długo na uboczu stali, a teraz oto są z nami i dzielą z nami nasze smutki i naszą radość.

Patrzę w pracę mego życia i patrzę na odpłatę, jaką mi niesiecie, i czuje się zawstydzoną, bo mi tu nadpłacono sto — i tysiąckrotnie. Bo praca była uboga i drobna, odpłata jest wielka i królewska. Bo praca była na miarę jednej duszy ludzkiej, odpłata jest na miarę wielkiej zbiorowej duszy narodu.

Lecz nasze wyjątkowe położenie sprawiło, że naród, któremu w tak znacznej mierze odjęto moc działania, posiada nadzwyczajną moc czucia. W pieśni jednoczy się w nim daleko więcej dusz, niż w jakiemkolwiek innem społeczeństwie. Pieśń nasza ma osobne czucie, jakiego inne pieśni nie mają. Ona, jak naród nasz, jest w niewoli.

Zaprawdę dzień pieśni mojej nie był dniem wesela. Nie wyśpiewałam jej pełnym głosem na jasnych polach swobody, nie świecił nad nią jasno promień narodowej pomyślności — Pieśń moja była stłumiona, często zduszona i niedośpiewana. Ale wyście sobie ją dośpiewali w duszy, wyście zrozumieli nie tylko jej słowa, ale także i jej milczenie, i tłumiliście to milczenie w piersiach waszych.

A teraz oto przyszliście. Uczucia duszy Waszej były uczuciami mojej duszy, bo Wasze to serce w niej biło, Wasz żal, Wasza tęsknota w niej drgała, Wasza nadzieja barwiła ją kolorem wiosny.

I stoję przed Wami, jako lutnia, na której duch ludu mego palec kładzie, iżby wygrał na strunach jej nieco miłości swojej i nadziei — ale najwyższą jest nadzieja, iżby jeden duch ożywiał naród cały, a ta nam się spełniać zaczyna.

Z dumą i radością patrzę na uczestnictwo ludu w tem święcie narodowej pieśni, bo i ci byli daleko, a oto są bliscy, bo szli nieraz w rozdwojeniu, a oto wchodzą do jedności ducha narodowego.

Bo i cóż Was przywiodło, bracia, z wiosek Waszych, jeżeli nie miłość dla naszej ojczystej mowy i cześć dla drogich nam i wspólnych wszystkich nam ideałów? A kiedy możemy mieć wspólne ideały, to i cele wspólne mieć możemy, a mając wspólne cele, możemy ku nim razem iść, a idąc ku nim razem, możemy mieć siłę i nadzieję, że dojdziemy.

Za ten widok na zorzę dni przyszłych, żeście otworzyli go dziś oczom moim, dziękuję Wam z głębi wzruszonej duszy, a choćbym Wam serce całe wyśpiewała, jeszcze całej mej wdzięczności wyrazić nie zdołam.

Słowa poetki przyjęto z zapałem niebywałym. Oklaski trwały długo, długo. Gdy ucichły, chór Towarzystwa muzycznego odśpiewał 8 pieśni słów Maryi Konopnickiej.

Zabrzmiała następnie pieśń »Boże coś Polskę«, którą odśpiewała cała publiczność.

P. Bartoszewicz wzniósł okrzyk: Wielka miłośniczka Ojczyzny i wolności, Marya Konopnicka, niech żyje!

Trzykrotnie powtórzono okrzyk, poczem z piersi wszystkich obecnych popłynął hymn: »Jeszcze Polska nie zginęła!«

Wśród wielkiego zapału publiczności poetka wyszła ze sali. Białe koniki uniosły jej powóz w stronę miasta.

W teatrach.

W obu teatrach, miejskim i ludowym, odbywały się popołudniu przedstawienia dla ludu, i na oba przybyła Jubilatka Do teatru miejskiego przybyła na początek »Kościuszki pod Racławicami«, powitana długimi, przeciągłymi oklaskami. — Przed przedstawieniem poseł Wójcik przemówił do publiczności, wśród której widać było głównie włościan, wyjaśniając znaczenie obchodu i zakończył słowami:

»Zgromadziliśmy się nietylko — mówił — by uczcić poetkę, lecz by się wspólnie zagrzać miłością Ojczyzny. By zagrzać się wspólnie razem — bez względu na stany — i chłopek od pługa, i w czarnej kapocie mieszczanin, jak i ten, co wykłada z profesorskiej katedry, czy robotnik z warsztatu, czy też urzędnik, gdy tylko nie przestał być Polakiem i kto tylko czuje głos polskiego sumienia. — A po takim wspólnym duchowym posiłku będziemy wracać do swych progów rodzinnych zagrzani, z otuchą, z nadzieją i wiarą w lepszą przyszłość. Z tą wiarą, jaką wlewała w nas Poetka. Skutek zaś będzie ten, że znowu zbliżymy się choćby o krok dalej do portu wolnej Polski, która jeszcze nie zginęła!

Już chwilę przed godziną trzecią sala teatru ludowego zapełniła sią także po brzegi wyłącznie niemal włościanami. W świetle lamp cała sala mieniła się od barwnych strojów włościan, wśród których, wyróżniały się również znaczne grupy robotników i rzemieślników miejskich. Nastrój panował poważny, prawdziwie uroczysty. Gdy podniesiono kur-

---

*) Uroczyste przedstawienie »Kościuszki« było urządzone staraniem komitetu włościańskiego, a w teatrze ludowym staraniem głównego komitetu. Ośmiu dzielnych krakusów na rosłych koniach otaczało powóz Jubilatki. Konwój ten wyglądał wspaniale; Marya Konopnicka nie mogła mu się napatrzeć.

tynę, ukazał się na scenie poseł Jakób Bojko i powitany gromkimi, długotrwałymi oklaskami, w te przemówił słowa:

»Kiedy nas niesumiennie rozszarpano na trzy części, zdawało się, że nieszczęśliwa Ojczyzna nasza a wraz z nią nasz naród pogrzebany na zawsze. Atoli dziś po stutrzydziestu latach niewoli widzimy z radością, że nas jeszcze Bóg nie opuścił, bo od czasu do czasu zsyła nam dzielnych ludzi, którzy swemi dziełami krzepią ducha w narodzie i świadczą przed światem, żeśmy nie zginęli jeszcze. — A szczęście najwyższe, że ludzi takich, którzy nawołują do pracy, do czynu, do obrony wszystkiego, co nam drogie, mają wszystkie stany. I my, lud włościański i robotniczy, którzy najbardziej potrzebujemy podniety i opieki, mamy takich pisarzy i opiekunów. Pocieszają nas w naszej nędzy i niedoli, krzepią nadzieję lepszej przyszłości«.

Opiekunką taką stała się jubilatka dzisiejsza, Marya Konopnicka. Ona najśmielej ze wszystkieh stanęła w obronie maluczkich, w obronie pracy, ona wyraźnie powiedziała narodowi, że »lud i praca, to są siły, a świat cały nimi stoi«. Pewien myśliciel polski powiedział, że jeśli ubodzy mają przyjaciół, to z pewnością prawdziwych. Więc i jubilatkę dzisiejszą uważać musimy za przyjaciółkę prawdziwą. Jeśli narodowi wogóle, to już szczególnie ludowi rzucała hojną ręką ziarno, bo pragnęła, aby chłop polski stał się rozumnym, wolnym i szczęśliwym obywatelem kraju.

Nie zważała przytem, że tym siewem swoim w chłopską duszę, wzbudzała gniew innych — nie zważała na kamienie, które padały na nią z bratniej dłoni, mogła złote swe pióro sprzedać drogo możnym, lecz ona nie pragnęła ni zaszczytów ni złota, bo kochała lud i prawdę. Wołała więc do narodu: patrzcie, to wasi bracia, to przyszłość narodu, barwnie opisywała dolę i niedolę ludu, jego nędzę i jego łzy. — I ten posiew miłości nie pozostał bez owoców. Topniały serca dla tych, o których wiedzą wszyscy, że »żywią i bronią«, którym atoli nie daje się jeszcze tego, do czego święte mają prawo.

Wszystko, co miała najlepszego, nam oddała, nam, którzy nie możemy wynagrodzić jej tego niczem innem, jak tylko serdeczną miłością. A jeżeli to tej naszej drogiej Poetce wystarczy na razie, to imieniem tych, co ją znają i umią cenić, jak i tych, którzy ją jutro poznają, wznoszę okrzyk:

»Za 25 lat pracy tak zbożnej dla narodu, a w szczególności dla nas maluczkich, niech Ci Bóg zacna Jubilatko stokrotnie zapłaci!«

Huczne okrzyki dowiodły, że szanowny poseł trafił mową swą do serca i przekonania zebranych. Bezpośrednio potem rozpoczął się znany dramat ludowy: »Zagroda Sobkowa«. W pauzie, po drugiej odsłonie, rozeszła się pogłoska, że Jubilatka przybędzie za chwilę, aby chociaż godzinę w tym także teatrze spędzić wśród tego ludu, który tak gorąco ukochała. Na wieść tę zapanowało ogólne poruszenie: tłum zaczął falować i cisnąć się ku drzwiom i na dziedziniec. I rzeczywiście wkrótce zjawiła się Ona, ta, dla której tu tyle serc żywiej biło. Prowadzona przez Lucyana Rydla, otoczona gronem kobiet i mężczyzn weszła Jubilatka do sali, gdzie na jej widok zatrzęsły się mury od gromkiego: »Niech żyje«. Zająwszy miejsce na fotelu, z widocznem rozrzewnieniem spoglądała na to morze ciekawych, a uradowanych twarzy i rozmawiała dłużej z wieśniaczą rodziną Lucyana Rydla i Włodzimierza Tetmajera Powtórnie teraz, wystąpił poseł Bojko, aby powitać Jubilatkę w imieniu włościan. Zaczął od tego, jak to w jednej z książek, które najpierw do rąk mu się dostały, ciekawą przeczytał historyę. Król Kazimierz Wielki dogorywał; do komnaty królewskiej cisnęli się wielcy panowie i dygnitarze. W tem zjawia się także grono kmieci. Czegoż tu chcecie? zapytano ich szorstko, tu nie ma miejsca dla was? Jakto, odpowiedzieli kmiecie, wszakżeśmy wojowali jeszcze z jego ojcem o ten tron królewski, wszakże my pomogliśmy mu osiąść na nim. A i ten który tam kona, naszym był ojcem. My tu więc powinniśmy być pierwsi

Historya ta — wywodził mowca — przyszła mi na myśl, gdym dzisiaj przy drzwiach stojąc w gmachu Sokoła, patrzył na to, jak najprzód inni Cię witali. I równocześnie przyszło mi na myśl: Toż my włościanie i tu powinniśmy być pierwsi. Dla nas to bowiem bije tak gorąco Twe serce, Zacna Polko, nam poświęciłaś perły wieszczego daru Twego, nas umiłowałaś nad innymi. Nie wszystkie jeszcze dzieła Twe dotarły do chat ludu, nie wszyscy jeszcze znamy Cię i cenimy. Ale przyjdzie czas, gdzie cały lud Cię pozna i pokocha, jak oto my tu dziś zebrani. I bądź przekonaną, że znajdziesz w sercach ludu tego taką miłość i wierność, iż chociażby Cię wszyscy zapomnieć mieli, my Ciebie nigdy nie zapomnimy. Tu ogarnęło mowcę wielkie wzruszenie i drżał mu głos, gdy za te dary, któremi lud obdarzyła,

za tę miłość dla niego, za to, że przybyła spędzić choć chwilę wśród wiernych chłopów, dziękował Jubilatce serdecznem: »Bóg zapłać«.

I znów sala zabrzmiała od pełnych radości i zapału okrzyków. W chwilę potem Jubilatka żegnana rzewnie i serdecznie opuściła przybytek sztuki ludowej.

Wreszcie wieczorem ku czci Jubilatki odbyła się wspaniała uczta w sali hotelu Saskiego. Tu witali się znajomi, poznawali się ci, co z dalszych stron przybyli, co »tacy dalecy, a tacy blizcy«. Odezwały się tony poloneza z galeryi — weszła jubilatka, i zajęła honorowe miejsce między prezydentem miasta, p. Friedleinem, a p. Maternową, przedstawicielką czeskich stowarzyszeń kobiecych. Przy stołach zasiedli przedstawiciele świata naukowego.

Po pierwszych daniach nastąpiły przemówienia toastowe. Rozpoczął ich szereg p. K. Bartoszewicz i jako prezes komitetu jubileuszowego zauważył, że w pierwszej chwili doznał trwogi na dzisiejszej uroczystości w Sokole, gdy ujrzał olbrzymią masę falującego tłumu, atoli trwoga ustąpiła niebawem wobec radości, że tłumy te przyszły uchylić czoła wobec genialnej poetki. I z zachowania się tych tłumów poznał, że tytuł, jakim pozdrawiał Jubilatkę, tytuł »Dostojnej Pani« był za małym, że należał się jej tytuł »Jasnej i najjaśniejszej Pani«, bo ona była przedstawicielką najjaśniejszej poezyi, i poznał, że należał się jej jeszcze jeden tytuł, płynący z serca tysiącznego tłumu, tytuł »Kochanej Pani«, bo ją ukochały tysiące, miliony serc polskich. Na cześć tej Najjaśniejszej i Kochanej Pani serc polskich wzniósł tedy toast.

Gdy uciszyły się gromkie oklaski, zabrał po chwili głos redaktor Rabski z Warszawy i w imieniu tej stolicy Polski, w rzewnych, podniosłych słowach złożył hołd Konopnickiej. »Za pieśni Twoje bądź błogosławiona«, rzekł p. Rabski, kończąc swą mowę.

Wydawca *Dziennika Berlińskiego*, p. Rose, przemawiał w imieniu stowarzyszeń polskich z Berlina. Mowca przedstawił w krótkich słowach stan ludności polskiej w Berlinie i w pruskim zaborze, a zakończył zapewnieniem Jubibilatki: »Ideały Twoje zawsze będą nam przyświecać«.

Poseł polski z Księstwa Poznańskiego, p. Mizerski, tłomaczył, jak to język polski w zaborze pruskim wytrzymuje gwałty niemieckie i ratuje się w chwilach ciężkich. Zdawało się, że wszystko stracone, aż oto przyszła Września i duch narodu złożył dowody żywotności. Mowca zapewnił Jubilatkę, że pieśni jej będą znane i rozumiane w każdym domu polskim. Wzniósł też zdrowie Konopnickiej, jako pieśniarki polskiej, jako krzewicielki ducha narodowego

Były poseł Wójcik wzniósł w imieniu ludu siermiężnego toast na cześć Jubilatki, poczem zabrał głos poseł miasta Krakowa, p. Ignacy Petelenz i stwierdził radosny fakt, że uroczystość dzisiejsza łączy wszystkich Polaków, bo biorą w niej udział wszyszy, bez względu na stany i przekonania polityczne. »Wielka myśl służenia Ojczyźnie, przebijająca z poezyi Konopnickiej, zgromadziła nas tutaj, a praca dla dobra Polski będzie naszem hasłem«.

Redaktor Korfanty z Górnego Ślązka, przemawiał w imieniu tego ludu polskiego, zapomnianego do niedawna, ludu, co w ciężkiej pracy i walce z losem uniósł poczucie polskości i dzisiaj składa hołd wielkiej pieśniarce polskiej.

Tutaj przerwano na chwilę toasty i odczytano listy wielkich pisarzy: Elizy Orzeszkowej i Zygmunta Jeża-Miłkowskiego, nadesłane na jubileusz.

Przemawiali jeszcze p. Kozłowski (z Krakowa), panna Arztówna (z Warszawy), książę Giedroyć (ze Lwowa), redaktor Wilhelm Feldman w imieniu żydów i p. Natanson (z Warszawy).

Pani Omańkowska z Poznania, przemawiająca w imieniu kobiet poznańskich, zapewniała, że są one świadome ciężkiego położenia Ojczyzny i nie cofną się przed żadnem poświęceniem, jeżeli tego zajdzie potrzeba. »Walka nie będzie nam ciężką — rzekła, zwracając się do Jubilatki — jeżeli Ty nam przewodniczyć będziesz«.

Z wielką uwagą wysłuchano następnie przemówienia pani Maternowej, która w języku czeskim, zapewniała w dłuższem, pięknem przemówieniu, że Czeszki i Polki zawsze walczyć będą razem w obronie ideałów narodowych. Mowczyni wzniosła toast na cześć kobiet polskich.

Rozrzewniająca rozegrała się scena, gdy odezwał się głos młodej dziewczyny, dziękującej Jubilatce w imieniu robotnic warszawskich »za miłość i obronę«. Po tych krótkich słowach zbliżyła się młodziutka mowczyni do Jubilatki, która wzięła ją w objęcia. Młoda dziewczyna rozpłakała się; zdawało się, że przez łzy jej przemawia cały, długo tłumiony ból i rozrzewnienie.

Wszyscy powstali z miejsc, gdy zabrała głos jubilatka. Improwizowała:

Z głębokich szybów naszego żywota,
Kędy się tai dusza narodowa,
Buchnął dziś wicher płomieni i złota
W mury Krakowa.
I poszły skrami żary tajemnicze
Przez zasypane popiołami znicze.

I oto wszyscy jesteśmy w natchnieniu
Życia, ku zorzom jutra uniesieni,
Wszyscy czujemy po serc naszych drżeniu,
Że brzask się mieni,
Że tu jest duchów sejm, co się gromadzą
Pod nieśmiertelną ideału władzą.

Jemu to biły dziś krakowskie dzwony,
Jemu grał hejnał wasz z krakowskiej wieży,
Ku niemu ciągły pola i zagony
Ziemi — macierzy.
Jego to mocne, święte zawołanie
Poszło po grodach i po ornym łanie.

Jego to wici latały nad nami
Od Wisły, Warty, od Wilii, od Niemna,
A my tu przyszli za tymi ogniami,
Choć droga ciemna.
Przyszliśmy razem czuć, żeśmy są żywi
I świadczyć życiu.

I oto — stoim tutaj, wszystkie stany,
Nim nas znów wicher rozniesie, rozegna,
Naród stoimy skonfederowany,
Jak w interregna —
Pod niewidzialnem berłem stoim ducha,
I w tem-ci nasza moc, nasza otucha.

Bo jest wódz, ponad wszystkie wodze ziemi,
I jutrzenkową gwiazdę ma u czoła,
A lud, co idzie hufcami zwartymi
Tam, gdzie on woła,
Ostatnią bitwę wygrywa dziejową.
I to jest hasło życia, życia słowo.

To i królewskość nasza. Tej korony
I tego berła nikt nam nie odejmie.
O niechże będzie Wódz Duch pozdrowiony
Na tym tu sejmie.
I niechaj swoje zjawy tajemnicze
Wcieli w narowu mojego oblicze.

Niech jak szeroka cicha błyskawica
Pogodę wróży na boje i znoje...
A oto — korna jego służebnica
Przed wami stoję.
I czuję, jak tu z wszystkich piersi bucha
Wielkie ognisko życia, płomień ducha.

A teraz, kiedy się rozstanę z wami
I pójdę znowu drogą moją ciemną,
Ta jedna gwiazda pomiędzy gwiazdami
Zostanie ze mną —
I świecić będzie w mrokach i przypomni
Dzień ten i wszystkich, coście tu przytomni!

Długim oklaskom nie było końca.

Następne p. Libicki z Warszawy odczytywać zaczął nieprzeliczoną liczbę telegramów, jakie na ręce komitetu z całej Polski nadeszły.

O wielgoludach i nasych ludziach.

Z podań ludu z nad Raby

zapisał

JAN ŚWIĘTEK.

Jak nastały rządy Boga Syna na świécie i ludzie nasi zaceni sie rusać na ziémi i robić w polu, to wielgoludy, co za rządów Boga Ojca mieli ziemię pod sobą, ni mogli sie nadziwić tym chrobáckom, niby to nasym ludziom, bo takich chrobáków jesce nigdy nie widzieli. A ci wielgoludy to byli to tacy strasecnie wieldzy ludzie, że jak wielgolud siągnuł ręką, to o milę dostáł, a jak mu potrzeba było na stálkę do bicyska, to chytáł za náwieksą sosne, jaká już teráz nikęj nie rośnie, wyrywáł z korzeniami, ostrugáł i całą do bicyska przystósowáł; kroki zaś takie wielgie sadzili, że z Krakowa do Warsawy nie potrzeba im było iś ani zdrowaśki. Miéskali na wysokich gorach, bo im tam nálepsi było, bo z nieba dostawali wszyćko, co ino kcieli. A nasi ludzie, jak nastali, to orali ziemię po nizinach, wozili gnój i uprawiali pola.

Ale Bóg Syn, jak objąn rządy, tak nareście pedziáł wielgoludom, ze próżniákom chleba za darmo nie bedzie dawáł: niek pracują, to bedą mieli co jeś. Zaceni tedy wielgoludy schodzić na niziny. Piérsa zesła córka króla wielkoludów, a jako to baba zawdy ciekawá i chytrá, tak zabrała chłopa, co oráł, konie, pług i wóz do zápaski razem i przyniesła swojemu ojcu na górę, a juzt z daleka wołała: „Tatusiu, niesę w zápasce nowe chrobáki na pokáz!“ Wielgoludy zbiegli sie do kupy i przypatrują sie tym chrobákom, a tak

głośno i grubo gádali, ze chłopu sie zdajało, jakzeby nad nim straśnie grzmiało. Chłop nas, co z początku ogrąmnie sie przeląk, jak ino wielgoludy na ozkáz króloski sie ucisyli, a ten król go pogłáskał i łagodnie do niégo przemówiuł i to tak samo po polsku, jak i ón mówiuł, tak osłuchnuł i pedziáł do tego królá: „Pocózeście mnie tuták porwali? Puściez mie, bo chto bedzie dawáł jeś moim dzieciom, co ich mám kilkoro".

Wielgoludy po ty jego mowie poznali, ze ón taki sám Polák, jak i óni, ino taki, ze musi pracować na kawáłek chleba. I pytali go dali, wiéla takich małych ludzi, jak ón, jes juzt teráz na świecie. A ón odpedá, że jes nás juzt bardzo duza, ze trudno porachować, a jak wielgoludy dokładnie kcą wiedzieć, wiéla, to niek przydom za niedługośko obácyć, bo bedzie wielgá urocystoś, co na nią przydzie bardzo wielgá rzesá ludzi.

Wiegoludy długo jesce wypytowali sie naskiego chłopa o ozmajte rzecy i straśnie sie dziwowali, jak ón im opowiedáł, jak óni ciężko robią, jak orzą, jak sieją, jak potym rośnie zboze, co ś niégo mają mąkę na chléb i kluski. Ale ludzie nascy se nie krzywdzą i są wytrwani, ze będzie im kiedy lepsi, abo przynámni ich dzieciom, bo to im zapowiedá ich ukochaná wiescka w cudnych piosneckach, co je śpiewá i zapisuje na chropkach z drzewa takiémi znakami, co óni na nich sie znają.

Tak król wielgoludów kázáł córce odnieś w zápasce tego chłopa z koniami, pługem i wozem na to miejsce, tak jak go przyniesła. I pedziáł takze ten król, że na urocystoś przydzie popatrzyć sie z intsymi wielgoludami, zeby sie ich nascy ludzie nie báli.

Jako i przysed; nawidzieli sie tyz ozmajtych rzecy i nasłuchali, bo mówili róźni nasi mądrzy ludzie i pismáki, a była to urocystoś na ceś ty wiescki, co biédnych ludzi w dolinach od dwudziestów pieciów roków ucyła swojémi piosenkami wytrwaniá i ceśniejakich mądrych rzecy.

I straśnie było tym wielgoludom nijako, ze nie znali tych nasych ludzi, chociáz ich juzt ze sto lát w dolinach widowali. A ze ci wielgololudy byli ludzie dobrzy i niegłupi a biéda im coráz wieksá za rządów Boga Syna doskwiérała, tak coráz ceści z nasymi ludziami sie schodzili i ucyli sie od nich ozmajty prácy; ale ze byli bardzo wieldzy i na jedzenie i przyodziéwkę wystarczyć se ni mogli, tak prosili ráz Pana Jezusa, aby ich zrobiuł tak małymi, jak nasi ludzie.

I stało sie, ze jak sie ráz rano obudzili, byli juzt takimi ludziami, jak nasi.

I od tego casu juzt wiecy wielgoludów na świécie nie było.

Hołd Szlachetnej i Czcigodnej Pani Maryi Konopnickiej

Największej Poetce, Pieśniarce, Wiernej Córce Ojczyzny i Szlachetnej Obywatelce w dowód czci i uznania wdzięczny włościanin z powiatu tarnobrzeskiego w dniu Jubileuszu dwudziestopięcioletniej pracy dla Narodu poświęca tę pracę Wojciech Wiącek.

Straszny i wesoły sen w Warszawie.

Było to dnia 24 grudnia 1898 r. w Wigilię Bożego Narodzenia, gdy w Warszawie odkrywano i poświęcano pomnik Adama Mickiewicza, najsławniejszego poety polskiego

Rano z brzaskiem jutrzenki już był ruch wielki w mieście, ożywienie i zapał poważny, tak cicho a spokojnie płynęły tysiączne fale głów w stronę pomnika. Około godziny 9-tej rano zaszumiało, jakby chmary wron i kruków wojsko moskiewskie, Kozacy dońscy, dragoni, ułani, Czerkiesy, husarze i piechota, razem 38 tysięcy ludzi, to jest cała załoga moskiewska, jaka jest w Warszawie. Kanonierzy stali w pogotowiu. Do tego przybyło żandarmów i policyi tajnej i jawnej drugie tyle i tak pomiędzy tłumami do południa płynęły bagnety nieprzerwanie po wszystkich ulicach, jak jaka lawina.

Aby poznać wojsko, jego szyk, rygor i siłę, szedłem obok, kilkoma ulicami. Napatrzywszy się dobrze, ruszyłem pod pomnik. Komitet budowy pomnika stanął o oznaczonej godzinie, kazał pomnik odkryć, a gdy zasłona opadła i Adam Mickiewicz jak żywy się okazał, tysiące głów odkryło się i zniżało powoli. Klękano na te kamienie kochanej stolicy, po których chodzili przez wieki królowie i wojska polskie, słychać było westchnienia w tej masie, taka była cisza, tysiące głów nieruchomych tkwiło w drzwiach, oknach i na balkonach do-

mów, a zwrócone twarze w stronę pomnika wyglądały jakby wmurowane dla ozdoby.

Po przemowie przewodniczącego Komitetu stałem jeszcze przed pomnikiem godzinę jak słup, a za mną trzech żandarmów z szablami, bo byłem znaczny z powodu sukmany wiejskiej kraju sandomierskiego.

Wydostawszy się powoli z tłumów, uprosiłem pewnego znajomego na przewodnika do zwiedzania miasta. Najpierw zaprowadził mnie na najwyższą wieżę nowego kościoła, z której widziałem całe miasto.

Cały dzień nieustannie chodziliśmy, aby jak najwięcej zobaczyć, byłem w zamku królewskim, w Łazienkach, każdą ścieżkę, każdą rzecz pilnie oglądnąłem, pojechałem do Wilanowa do pałacu króla Jana Sobieskiego, zwiedziłem pamiątki, ogród i pałac jego Marysienki. Wieczorem poszliśmy na most wielki żelazny, który jest na Wiśle między Warszawą a przedmieściem Pragą. Napatrzywszy się całemu wielkiemu ruchowi w mieście, udaliśmy się na wspólną Wigilię. Było nas około 300 osób z całej Polski, z każdego zakątka. Jakie tam były mowy, życzenia i płacz podczas łamania się opłatkiem, tego niktby opisać nie potrafił.

Po wieczerzy udaliśmy się wprost do kościoła na Pasterską Mszę. Przed kościołem stali już żandarmi na koniach i pieszo. Przez cały czas nabożeństwa rżały konie tak, że nie można było nic słyszeć, ani śpiewu księży, ani śpiewu ludu. Po nabożeństwie udałem się do domu na spoczynek.

Wszystko to, co przez cały dzień widziałem, zrobiło na mnie nieopisane wrażenie. Położywszy się do łóżka o 2 godzinie po północy, ledwie o 3 zasnąłem. Tysiące myśli i obrazów miałem przed oczyma; myślałem — począwszy od Krakusa i Wandy aż do czasów dzisiejszych — o naszej kochanej Polsce, o tej przeszłości i przyszłości narodu naszego.

Rozmarzony usnąłem. I śniło mi się, że jestem w swojej rodzinnej chacie, że wróciłem od pracy z roli i że niezadowolony z cichego, prostego, prawie zamkniętego życia wiejskiego, zacząłem narzekać na swój stan chłopski, nędzny, otoczony ciemnymi i złośliwymi ludźmi, zdawało mi się, że przeżyć takiego nędznego życia we wsi nie potrafię, coś mię rwało w niezmierzoną dal, w świat, tęsknota coraz większa za swobodniejszem życiem...

Czując się czemś przygnębiony na duszy, postanowiłem rzucić braci włościan i kochaną rolę, chatę i w świat zaraz wyjechać.

I oto wybrałem się w drogę na północ. Idąc tak samotny przez kraj szeroki, mijałem wioski, dwory i miasta, a wszędzie widziałem rozkoszne równiny, wesołe i urocze okolice, niby raj drugi...

Pomimo cudownej przyrody kraju, szczęścia u ludzi nie widziałem. Wieśniacy bardzo smutni pracowali ciężko w polach i złorzeczyli wszystkiemu na świecie, spotykałem bardzo wielu wesołych, ale byli to ludzie pijani Chcąc się dowiedzieć o smutnych losach tego ludu, zapytywałem, co im brakuje i co im dokucza, a oni odpowiadali, że żyją w niewoli i że nic o Bożym świecie nie wiedzą, a pociechą po pracy jest im tylko wódka, przyjacielem karczma. W dworkach zaś widziałem tylko zabawy, picie i tańce, słowem było tam życie bez trosk; a były też dwory, gdzie kręcili się różni młodzi ludzie w mundurach z różnemi odznakami zagranicznemi. Ci się we wszystko wciskali, mieszali a jedli, pili, chwaląc gościnę i biorąc podarunki.

W niektórych zaś dworach widziałem, jak właściciele pocieszali ten lud smutny, znękany, zimny i ciemny Przechodziłem przez miasta, tam znów panował ruch ożywiony, ale ludność była samolubna, rozpustna i pijacka. Idąc coraz dalej, zmęczyłem się upałem słońca i usiadłem na pagórku pod drzewem. Po niedługiej chwili zaczęło się niebo z różnych stron zachmurzać i słychać było dalekie grzmoty; lud pracujący zaczął trwożliwie oglądać się na wsze strony i powoli pracę porzucać. Schroniłem się także i ja w chacie jednego wyrobnika. Tymczasem burza z gradem i piorunami szalała niesłychanie, wielkie szkody czyniąc w polach, lasach i wioskach.

Spiesząc co sił, zobaczyłem z daleka las. Pocieszyłem się, bo i już słońce zaczęło się zniżać ku wieczorowi. Naokoło słońca poczerwieniało niebo i łuna czerwona całe niebo okryła, a czerwone słońce schowało się za gęsty, wielki, czarny bór, gdzie go już ujrzeć nie mogłem. Spojrzałem jeszcze raz na niebo i aż się przeląkłem, bo nad schowanem słońcem ukazały się na niebie cztery komety jak rózgi, a nad każdą jeden wyraz, słowa wypisane były czarnemi literami: „Źli — Sami — Siebie — Ukarzą".

Stojąc, jak skamieniały, bałem się głowę poruszyć, taki mię strach ogarnął i dopiero po dłuższej chwili przyszedłem do przytomności i mogłem zmiarkować, gdzie jestem. Rózgi i napisy powoli znikały, aż znikły zupełnie i dopiero wtenczas odważyłem się iść da-

lej. Nie wiedząc, gdzie i jak mogę zanocować, myślałem tylko, że na kraju boru znajdę jaką chatkę leśnika lub karczmę. Idąc w las nic nie zobaczyłem, spotkałem się tylko z woźnicą, który wiózł wódkę i dziegieć i powiedział mi, że w tym ciemnym borze jest pełno dzikich, krwiożerczych zwierząt, jadowitych a strasznych gadów, żmij, wężów, a co najgorsze zbóje i złodzieje rabują i obdzierają ze wszystkiego każdego człowieka, później męczą go długo lub wieszają. Wiadomość ta odebrała mi całą odwagę. Poprosiłem go, aby mię zabrał do wsi, lecz woźnica odmówił mi, zaciął konie i pojechał. Polecając się opiece Najwyższego Boga, ruszyłem dalej w drogę. Przy drodze na wyższym pagórku zobaczyłem wreszcie słup biały, na słupie kapliczkę z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Przybliżyłem się, zmówiłem „Pod Twoją Obronę“ i chciałem odejść. Spojrzałem na obraz, westchnąłem głęboko. Wtem zobaczyłem na słupie napisane „Suplikacye“. *(Dok. nast.)*.

†

Ks. Msgr. IGNACY ŚWIEŻY.

Nagle i niespodziewanie zaskoczyła śmierć dzielnego szermierza na naszych kresach w Cieszynie na Śląsku austr., ks. Ignacego Świeżego, który dnia 22 października o godz. $5^1/_4$ wieczorem, rażony przedtem paraliżem, spokojnie w Panu zasnął.

Ks. Świeży urodził się dnia 12 października 1839 w Wielkich Kończycach koło Frysztata. Nauki gimnazyalne ukończył w Cieszynie, studya zaś teologiczne w Ołomuńcu, gdzie dnia 11 czerwca 1865 otrzymał święcenia kapłańskie. Pracował następnie jako wikary w Racimowie i Bielsku, skąd przeniósł się na posadę profesora do niemieckiego gimnazyum w Cieszynie. Dnia 9 września 1878 roku wybrany został po raz pierwszy do Sejmu śląskiego, którą to godność piastował aż do rozpisania nastających wyborów. W r. 1885 otrzymał mandat do Rady państwa, który wykonywał aż do r. 1900, w którym to roku wstąpił także w stały stan spoczynku, jako profesor gimnazyalny. On to założył w r. 1873 „Dziedzictwo błog. Jana Sarkandra“, w r. 1883 razem z ks. Paździorą zorganizował „Związek śląskich katolików“, który podniósł znacznie uświadomienie narodowe i polityczne wśród ludności katolickiej. Niespożyte zasługi położył około powstania gimnazyum polskiego i polskiej szkoły ludowej w Cieszynie. W najtrudniejszych chwilach był niezmordowanym orędownikiem pierwszego, a rozwój drugiego zakładu tak bardzo mu leżał na sercu, że nawet, po złożeniu prezesostwa „Macieży“, które piastował od śmierci Stalmacha w r. 1891 aż do stycznia 1901, pisywał pouczenia dla rodziców, chcących posyłać dzieci swoje do polskiej szkoły.

Dla swojej wyrozumiałości był lubiany przez wszystkie wyznania i narodowości i nawet Niemcy lubili z nim obcować. Znany był dobrze, jako gorący zwolennik czesko-polskiej ugody. Cześć jego pamięci.

Opis obrazów Artura Grottgera
p. t. „Wojna“

które obecnie dodajemy do *Przodownicy*.
Obrazów tych będzie 11.

(Ciąg dalszy).

7. Zdrada i kara.

Cóż to za hałas w obozie? cóż to za dzikie rozlegają się krzyki o tak wczesnej porze? Słychać zaklęcia, płacz jakiś ochrypły, rozpaczliwe łkanie szarpiące wnętrzności, a wśród tego surowe szyderstwa żołnierzy, straszliwe miotających przekleństwa. Żołnierze ujęli markietana, tego słabego starca, co swe zapasy obnosił po obozie, ujęli go, gdy właśnie z flaszką w ręku raczył spragnionych.

Cóż on zawinił? Łatwa odpowiedź: on podejrzany o zdradę. Daremnie starzec broni się i zaklina na Boga i wszystko co święte, daremnie dowodzi swej niewinności i z oburzeniem odpiera podejrzenie strasznej zbrodni, daremnie stara się wzruszyć żołnierzy prośbami i łzami — już go nie puszczą. Zawlekli go przed namiot stojący w samym środku obozu, przed którym zatknięta powiewa chorągiew, przed namiot wodza. „Przeszukać go!“ — brzmi lakoniczny rozkaz tegoż.

W tej chwili kilku silnych młodzieńców rzuca się na niego, przeszukują wszystkie możliwe kryjówki, i — o! nie zakryjesz przed nimi podły zdrajco swej zbrodni — znajdują.

Niedarmo starzec wije się w boleściach, niedarmo trwoga wykrzywiła konwulsyjnie rysy jego obrzmiałej twarzy. Na podeszwie buta papier jakiś — *corpus delicti* (dowód).

Ważne zawierać on musi wiadomości. Patrz, jak się w czytaniu zatopili oficerowie, jak ponuro i złowrogo wódz zagłębiony w tych słowach, słowach zdrady.

Ten nędzny starzec, któremu wszyscy zaufali, jest zdrajcą, on dziś jeszcze za marny pieniądz miał sprzedać nieprzyjacielowi swych własnych braci, dziś jeszcze miała się dokonać najstraszniejsza zbrodnia — zdrada Ojczyzny.

8. Obdzieranie poległych.

(„Ludzie czy szakale?“).

Już słońce zaszło, a zmierzch nocny zaległ równinę. Wojujące strony muszą ustąpić przed cieniami nocy, zwycięzcy i zwyciężeni już zaprzestali walki i w znacznej od siebie odległości usiedli przy swoich ogniskach, co jak błędne wokoło widnieją ogniki. Na pobojowisku cicho. Tylko od czasu do czasu zakraczą kruki, czasem głębsze słychać jęki, to znów piekielna skarga wydziera się z ust konającego. Noc rozpostarła ciemności swe. Księżyc w pełni wschodzi na pogodnem niebie i oświeca swem bladem światłem trupami usłane pobojowisko, okrywając całunem śmiertelnym ciała wojowników, leżących pospołu.

„Z twarzą, co woła: jesteście przeklęci!“

Czy poznajesz tego rycerza, co u stóp twych z roztrzaskanym leży szyszakiem? Zbrodnicze ręce obnażyły mężną pierś jego, uniosły jego pyszny i świecący mundur, w którym żołnierz spodziewał się spocząć w ziemi.

Lecz cóż to za postacie przesuwają się tam pomiędzy trupami? jakżeż dziwne ich ruchy! to jak duchy mkną szybko w świetle księżyca między stosami poległych, to znów pochylają się nad nimi, jakby się przekonać, czy z piersi ich już wszystko uciekło życie.

Patrz, te cienie obdzierają poległych, zakrwawionemi rękami ściągają ich grobowe suknie, korzystając z ciemności nocy. by unieść je w bezpieczne miejsce, gdzie niecny ich towar znajdzie nabywcę.

Ludzie to, czy szakale, co na opuszczonem pobojowisku zbierają plony śmierci, co wespół ze zwierzętami pastwią się nad zwłokami i dobijają rannych bohaterów? To są ludzie, których potępiasz; ludzie, których wróg pozbawił domu, którym wojna wydarła wszelkie środki do życia, którym pożoga i mordy wystudziły wszystkie uczucia szlachetne, zostawiając tylko dzikie, zwierzęce popędy; to ludzie, których głód i ostatnia nędza zrobiły zbrodniarzami. Przychodzą tu na pole śmierci żywych szczuć psami, i obdzierać zmarłych; wszak oni się nie bronią.

Lituj się nad nimi, płacz nad ich losem, ale nie potępiaj tych nieszczęśliwych.

9. Sieroty.

(„Już tylko nędza“).

Nieprzyjacielskie wojska zajęły wieś. Mężny wał obrońców rozbity, a pozostali przy życiu rozbiegli się po wsi, by na progach swych domów bronić nieprzyjacielowi wstępu. Każdy płot staje się wałem, dom twierdzą, z której obrońcy słabym lecz pewnym ogniem rażą wroga, okupującego strumieniami krwi i setkami ciał każdą piędź ziemi. Już nieprzyjaciel plądruje po mieszkaniach.

Żona pozostała umieściła dzieci w bezpiecznem ukryciu i odważnie zagląda śmierci w oczy, zdecydowana raczej ponieść śmierć, jak przeżyć swą hańbę. Wpadają żołnierze, niszcząc wszystko ogniem i mieczem. Jeden zbliża się do kobiety, którą sobie upatrzył na ofiarę swych zwierzęcych żądz, lecz ona ginie śmiercią męczeńską właśnie w chwili, gdy krwią okryty jej mąż zapóźno nadbiega na pomoc. Straszna między dwoma mężami wszczęła się walka: z jednej strony rozpacz bez granic, a z drugiej dzika żądza krwi i rozwścieklone namiętnością popędy. Żaden nie zwyciężył, obaj polegli w uścisku wzajemnym, śmiertelnym, z którego się więcej nie obudzą.

„Tam i ci bronili, i ci, co się wdarli“.
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli!“

Wkońcu wszystko ucichło. Dzieci sądząc, że już niebezpieczeństwo przeminęło, wychodzą ze swych kryjówek. Z niewinnym uśmiechem radości zbliżają się do swej matki, która bez duszy leży tuż obok swego małżonka, co po śmierci jeszcze zdaje się pasować ze swym przeciwnikiem.

Biedne dziatki, wy jeszcze nie wiecie, żeście sierotami!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do polskich dziewcząt.

Hej dziewczęta z wiejskiej chaty!
Garnijcie się do oświaty.
Dalej polskie krasawice,
Bierzcie w rączki *Przodownicę.*

Przodownica w sobie mieści
Tyle nauk i powieści,
W *Przodownicy* gospodarskie
Różne rady i lekarskie.

Jak gotować, prać bieliznę,
Jak kochać naszą Ojczyznę.
Tylko ją pilnie czytajcie,
Między sobą rozszerzajcie.

Gdy Marysia i Magdusia,
Kasia, Basia i Hanusia,
Po „szóstaku“ każda dacie,
Przodownicę rok czytacie.

Cóż znaczy dziewka takowa,
Którą o to boli głowa,
Jak w niedzielę swoje lice
Ubrać w modną jedwabnicę.

A w głowie ma „ceregiele“,
By mieć kawalerów wiele,
Różne schadzki w karczmie taniec,
Smutny takich dziewcząt koniec.

— Wy panienki, co czytacie,
Przodownicę i kochacie,
Niechaj z Was czasami która
W wolnym czasie weźmie pióra,

I pisze do *Przodownicy*,
Jak tam w Waszej okolicy,
Co tam słychać, co dobrego,
Wesołego lub smutnego.

Przodownica wydrukuje,
Pięknie za to podziękuje,
A ja co tę prośbę wnoszę,
Taką Wam nagrodę głoszę.

Sto całusów za przekazem
Poszlę pocztą każdym razem,
Za wiersze do *Przodownicy*,
Dla każdej wiejskiej dziewicy.

Benczyn, 1 listopada 1902. *Jantek z Bugaja*
parobek wiejski.

Zużytkowanie ziem błotnistych.

W Ameryce spożytkowują miejscowości błotniste, obsadzając takowe jesionami, które dają bardzo twarde i pożyteczne drzewo. Za przykładem poszły Niemcy, i Holandya. Jesionów nie sadzą tam w dołach wybranych, lecz stawiają je wprost korzeniami na ziemi, i obsypują naokoło ziemię na kształt stóżka, gdyby przed utrwaleniem się drzewka nadciągnęła burza i pochyliła je, potrzeba je jeszcze raz okopać. Najodpowiedniejszy czas do sadzenia jest od połowy maja do końca czerwca. Ziemia jest wtedy dosyć wygrzana i drzewko może szybciej wzrastać. Do sadzenia należy wybierać drzewka najsilniejsze i prosto rosnące, a sadzić je w odległości $1^1/_2$ m jedno od drugiego. Miejsca, które są pokryte jeszcze wodą, lepiej początkowo ominąć, gdyż woda zginie z nich stopniowo, a wtedy można je będzie także obsadzić Jak zapewniają naoczni świadkowie, udaje się w ten sposób ziemię osuszyć. W Kurlandyi próbowano obsadzić ziemie błotniste czarną olchą i otrzymano nie złe wyniki, ale drzewo olchowe nie da się porównać co do wartości z drzewem jesionowem.

Szanowna Redakcyo!

Z powodu ćwierćwiekowego Jubileuszu ukochanej poetki Maryi Konopnicklej przesyłamy Jej najserdeczniejsze życzenia.

Cieszymy się, że mamy nie tylko dzielnych mężów — ale i także dzielne niewiasty — które się sprawami narodowemi zajmują. Przedewszystkiem my na owdowiałym Śląsku — dawnej części Polski witamy z radością każde pokrzepienie ducha narodowego.

Lud nasz wiejski, który do niedawna jeszcze nie był w sprawach narodowych oświecony domaga się już zupełnie praw swoich.

Smutno dla nas wspomnieć o dziatkach wrześnieńskich, o mowie w Malborgu i różnych licznych prześladowaniach.

I nie lepiej, jako we Wrześni działo się także i do niedawna w naszym ukochanym Śląsku. Jeżeli kto chciał dziatki lepiej wykształcić musiały one uczęszczać do zagranicznych albo do niemieckich szkół — bośmy nie posiadali polskich.

Obecnie patrzymy już w lepszą przyszłość. Miło nam, że mamy w Cieszynie już 3 polskie szkoły a mianowicie: polską ludową, gimnazyum polskie, seminaryum nauczycielskie.

Te zakłady przedstawiają, żywą odpowiedź naszym wrogom za liczne prześladowania i pokrzywdzenia — oraz dowód, że naród nasz zamiast ginąć, wzmacnia się, czego żaden — choćby najpotężniejszy wróg już nie powstrzyma.

Niech żyją nasze dzielne niewiasty i nasza ukochana Ojczyzna.

Bażanowice, dnia 21 sierpnia 1902 r.

Z głębokiem poważaniem
Kaszper Karol, ekonom.

ROZMAITOŚCI.

Ostrzeżenie przed emigracyą. Powoli zaczyna się u nas rozwijać nowa emigracya do Afryki południowej, wabiona tam nadzieją wielkich zarobków. Tymczasem nadzieje nie odpowiadają rzeczywistym stosunkom. Przedewszystkiem ną wielką nędzę narażeni są wychodźcy, nieznający używanych tam języków. Bogactwo tamtejszej ludności stanowiły liczne stada bydła, które padły ofiarą wojny i zarazy, tak że panuje tam teraz wielkie, ogólne zubożenie; ceny bydła są trzy razy większe, aniżeli u nas. Bez pociągów, z bydła złożonych, uprawa roli jest tam niemożliwą. Wychodźcy, nie mogąc uprawiać roli, szukają pracy w kopalniach, szczególniej w Johanesburgu. Nagromadziło się tam już w mieście i okolicy tylu robotników, że poszukujący pracy jej nie znajdują i położenie ich codzień staje się trudniejszem. Wprawdzie wykształceni fachowcy zarabiają tam dziennie około funta szterlinga; ludzie wszakże niezawodowi muszą się zadawalniać 5 szylingami, co przy niesłychanej drożyźnie wystarcza zaledwie na uchronienie się przed głodową śmiercią. Wobec tego narażają się obecnie wychodźcy do Transwalu i do tak zwanych „Orange-Riwer-Colony“ na smutną dolę. Wreszcze rząd tamtejszy tylko w ograniczonej liczbie dopuszcza osoby, nie będące angielskimi poddanymi. Z pomiędzy wychodźców austro-węgierskich wpuszczają co miesiąc tylko 20. Dużo osób czeka w nadbrzeżnych miejscowościach po 3 i więcej miesięcy bez zarobku na wpuszczenie do Transwalu. Poprawy przedstawionych stosunków nie można się prędko spodziewać.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Po wydaniu już numeru jubileuszowego nadeszło dużo ładnych wierszy i życzeń przesłanych dla Jubilatki Maryi Konopnickiej, których z powodu późnego przesłania — nie mogłyśmy w tym numerze zamieścić. Wszystkie jednak — znajdują się w albumie od Czytelniczek i Czytelników wręczonym Jubilatce w dniu głównej uroczystości 19 października w Krakowie.

Przepisy na obiad wigilijny i ciasta, przeszlemy Szanownej Jakóbowej Antosowej listownie, jak również tym Czytelniczkom, które po nie się zgłoszą. — W rocznikach bowiem poprzednich przepisy takie były już w *Przodownicy* zamieszczane.

Sz. J... Jak oczyszczać zboże, pola, łąki ze ślimaków i zapobiegać w rozmnażaniu się, napiszemy w grudniowym numerze.

Szanowne i Drogie Czytelniczki! W odpowiedzi na Wasze pytania donosimy, że kalendarze p. Kaspra Wojnara już są na ukończeniu. Jak lat poprzednich, tak i w tym roku prenumeratorki i prenumeratorzy *Przodownicy,* otrzymać je mogą po cenie zniżonej. Wyjdą następujące kalendarze: „Polak“ (80 hal.), „Gospodarz“ (60 hal.), „Maryański“ (60 hal.), „Powszechny“ (1 Kor. 60 hal.) i „Żołnierski“ (1 Kor.). Kto chce je nabyć, niechaj napisze wprost do p. Kaspra Wojnara, ulica Szewska, l. 13, w Krakowie, i przeszle przekazem pieniądze, a natychmiast żądany kalendarz otrzyma.

Każdy z kalendarzy ma bardzo piękne powieści, obrazki, rady gospodarskie, opowiadania i historye. Kalendarz Wojnara powinien znajdować się w każdej chacie i w każdym domu, bo to najpiękniejsze w tym kierunku wydawnictwo.

A pamiętajcie drogie Czytelniczki o nadsyłaniu prenumeraty i jednaniu jak największej liczby prenumeratorów *Przodownicy,* którą tak kochacie!

Czy Redakcya poda radę, jak prać i prasować pięknie, donosimy, że: i owszem bardzo chętnie to czynimy na życzenie Szanownych Czytelniczek. Nie jedna już z naszej porady nauczyła się ładnie prać i prasować bieliznę, kołnierzyki wysokie dla swych braci nauczycieli i t. d. Tylko śmiało piszcie i żądajcie rad i wskazówek w każdych razach, a miło nam będzie przesłac je Wam jak najchętniej i jak najlepsze.

Od Administracyi.

Zachęcajcie Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy do czytania i prenumerowania *Przodownicy.*

Prenumeratę na rok 1903 należy przesyłać do do 15 grudnia — i zamawiać to pisemko. — Jednocześnie Administracya prosi o uiszczenie zaległych za rok bieżący prenumerat. Numery 1, 3, 5 i 6 są zupełnie wyczerpane. — Nowi prenumeratorzy mogą otrzymać „Lituanię“ Grottgera — 5 pięknych obrazków, których część już była zamieszczona w *Przodownicy,* w zamian za wyczerpane numery — pierwszego półrocza, lub książki wartości 25 ct. czyli 50 hal.

Kto chce zaprenumerować *Przodownicę* jeszcze w r. b., to jak poprzednio pisaliśmy, może dostać od lipca począwszy, wszystkie egzemplarze.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE.

Przez M. T. P.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Żadne pióro opisać nie potrafi, co się działo w Warszawie, gdy dobiegła tam wieść o klęsce pod Maciejowicami i wzięciu Naczelnika w niewolę. Całe miasto do najwyższego stopnia przerażone — przejęte żalem — łamiąc ręce w bezsilnej rozpaczy, wydawało jęki, płacze i wołania: „Zginęliśmy, gdy Kościuszki nie ma już!“ Kilkunastu obywateli, gorąco odczuwających to nieszczęście, dostało pomięszania zmysłów — wielu skonało nagle na porażenie serca. Boleść bez granic szerzyła się wśród mieszkańców, a oburzenie i żałość tak bardzo wstrząsały umysłami wszystkich, że około 20 tysięcy zupełnie bezbronnych rzemieślników, mieszczan i ludu koniecznie chciało wyjść ze stolicy i rzucić się na wrogów, aby odbić im ukochanego wodza. Ale rozważniejsi ludzie zdołali, choć z trudem ugasić ten niewczesny zapał.

Cóż bowiem poradziłby tłum z gołemi rękami ciskający się naprzeciw ziejących morderczym ogniem armat moskiewskich? Tylko więc Rada Narodowa wysłała natychmiast do gen. Fersena z przedstawieniem, aby w zamian za wszystkich rosyjskich jeńców zostających w polskich rękach, wydać zechciał Kościuszkę. Lecz Fersen dobrze rozumiał, jaką potęgą zdobył na Polakach, mając w mocy swej Naczelnika i nie przystał na wymianę.

Odtąd powstanie, straciwszy Kościuszkę, który był w niem głową i duszą, szybko zaczęło upadać. Gen. rosyjski Suwarow zbliżył się pod Warszawę. Zdobył Pragę, wyrżnął jej walecznych obrońców, a dnia 4 listopada zajął i stolicę. Wtedy wszystko się już skończyło. Gdy serce Polski (Warszawa) dostało się w ręce wrogów, i inne jej członki upadły. Na Litwie, Rusi i indziej, powstanie zaledwie dyszące, łatwo zgnieciono — poczem przystąpiono do trzeciego, ostatecznego rozbioru naszej Ojczyzny. Ani skrawka ziemi nie zostawiono nam, — wszystkiem podzieliły się trzy chciwe zaboru mocarstwa. Polskę wykreślono z rządu państw europejskich — zaprzeczono jej prawa do życia — wymazano jej imię i rozkazano całemu światu o niej zapomnieć. A przecież chociaż rozerwana i prześladowana, chociaż gnębiona i niszczona wszelkimi niegodziwymi nawet środkami — Polska żyje i nie umrze, dopóki w sercach jej dzieci palić się będzie miłość i cześć dla wielkiego bohatera w sukmanie.

Ale powróćmy do rannego Kościuszki. — Ten po kilku dniach choroby przyszedłszy nieco do sił, został odesłany do Petersburga i tam osadzony w więzieniu. Wślad za nim poszła jednak cześć dla jego wielkich przymiotów. Z niezwykłą u Moskali łagodnością obchodzono się też z Kościuszką — a on, chociaż z niepogojonemi jeszcze ranami i gnębiony zabójczą myślą o niedoli Ojczyzny, skracał nudy więzienia pracą ręczną — oddając się swemu ulubionemu tokarstwu. — Po dwóch latach niewoli t. j. 17 listopada 1796 r., gdy po zgonie carowej Katarzyny wstąpił na tron rosyjski dobry cesarz Paweł — otrzymał Kościuszko, wolność. Sam car, wielbiący z dawna naszego bohatera, przyszedł do jego więzienia i oznajmił, że wolnym jest, na znak czego oddał mu pałasz, przyczem zapytał się go, czego pragnie. Kościuszko zawsze równie szlachetny, bez wahania odpowiedział: „Najjaśniejszy Panie! uwolnij i innych moich rodaków“. Car uczynił według życzenia zacnego tego serca, co w każdej chwili smutku czy pociechy o drugich pamiętało szczerze — i uwolnił Niemcewicza (przyjaciela Kościuszki z lat młodzieńczych) i wielu innych. Paweł ofiarował się nawet swemu dostojnemu więźniowi przyjść z pomocą pieniężną, ale Kościuszko nie przyjął nic — i tylko przyrzec musiał, że więcej przeciwko Rosyi nie podniesie broni.

Wkrótce już potem — dnia 19 grudnia 1796 r. wyjechał Tadeusz z Petersburga i udał się najpierw do Stokholmu (stolicy Szwecyi). Tam cała ludność miasta przyjęła go z wielką czcią i zapałem, albowiem na całym świecie głośnym był z cnót i męstwa, ten wielki patryota polski. Król szwedzki Gustaw IV. zaprosił go do zamku i w dowód szacunku ofiarował mu kosztowną szpadę. — Ze Stokholmu przybył Kościuszko do Londynu — gdzie równie uroczyście witano go. Po kilkunastu dniach pobytu w stolicy Anglii siadł na okręt i popłynął do drugiej, przybranej tylko, ale umiłowanej Ojczyzny swej — do tej, dla której równie ochotnie krew swą niegdyś przelewał — do Stanów zjednoczonych Ameryki. Tamtejsi obywatele, pamiętni jego zasług, nietylko słowami składali mu dowody swego uwielbienia — lecz i czynem dowiedli wdzięczności. Wypłacili mu bo-

wiem, jako zaległą należytość żołdu narodowego 16 tysięcy piastrów. — Tam też Kościuszko w gronie życzliwych i kochających przyjaciół, czując się, jakby między swymi, osiadł w Filadelfii i odzyskał spokój ducha. Ale myśl o Polsce, nad którą nieprzyjaciele znęcali się znów po dawnemu, nie dawała mu używać cichego szczęścia słodyczy.

Nie teraz jednak jeszcze naznaczyła Opatrzność kres jego tułaczce. Stworzonym on był do czynnego życia. Wkrótce więc musiał znów opuścić Amerykę, ale tym razem już na zawsze. Rząd amerykański znając zacność jego charakteru i wielkie w całej Europie poważanie, uprosił go, aby udał się do Francyi i tam u rządu rzeczypospolitej popierał handlowe interesy Amerykanów.

IX.

Kościuszko zbliżał się tedy do brzegów Europy z radośnie bijącem sercem, bo spodziewał się być pomocnym sprawie polskich legionów, które właśnie natenczas tworzył we Włoszech generał Henryk Dąbrowski z myślą powrotu do kraju i podjęcia walki z Moskalami. Godność naczelnego wodza tychże legionów, ofiarowano Kościuszce, lecz on, pamiętny na dane carowi Pawłowi słowo nie wojowania więcej przeciwko Moskwie, zaszczytu tego odmówił. Chociaż jednak dla sprawy polskiej nie mógł orężnie pracować, pracował dla niej wszelkimi innymi środkami. Nie szczędził więc ani trudów, ani zabiegów, aby dać poznać rządom państw europejskich, iż rozbiór Polski to hańba i nieszczęście dla całej ludzkości i że obowiązkiem narodów chrześcijańskich dopomódz nam w odzyskaniu bytu samodzielnego. Ale niestety! Usiłowania Kościuściuszki rozbijały się o niechęć i samolubstwo ludzi, stojących u szczytu władzy. Napoleon Bonaparte, który potęgą swego geniuszu wojennego uchronił Francyą od zguby, a teraz stał na czele rządu rzeczypospolitej francuskiej, ten więc Napoleon chciał zapał Polaków dla swoich ambibitnych widoków wyzyskać — wiele nam obiecywał, ale nic nie robił.

Kościuszko, kochający nadewszystko Ojczyznę był co do jej spraw, jakoby wieszczym duchem natchniony, to też poznał on zaraz, że nie mamy co rachować na piękne słówka francuskiego władcy. I rzeczywiście — chociaż Napoleon ogłosiwszy się następnie cesarzem Francuzów, chciał za pośrednictwem Kościuszki łudzić naród polski obietnicami wolności, Tadeusz nie uwierzył i do niczego się użyć nie pozwolił. Mimo to Napoleon, pozyskawszy pomoc legionów polskich, wyruszył przeciw Rosyi — lecz wyprawa ta nie powiodła mu się zupełnie. Pobity, ustępować musiał przed sprzymierzonymi przeciw niemu nieprzyjaciółmi. Wreszcie w r. 1814 i Paryż wpadł w ręce Rosyan, Austryaków i Prusaków. Ówczesny car Aleksander I. dowiedziawszy się, że pod Paryżem mieszka Kościuszko, posłał natychmiast po niego własną karetę — przyjął go nader serdecznie — uściskał i pytał, czegoby żądał od niego. Tadeusz odpowiedział życzeniem, aby car zechciał uwolnić Polaków, jęczących jeszcze w rosyjskich więzieniach, oraz aby ogłosił dla polskich ziem, pod jego berłem będących, konstytucyę i aby sam przyjął tytuł króla polskiego. — Gdy następnie w roku 1815 zbierał się w Wiedniu wielki kongres, czyli zjazd przedstawicieli różnych mocarstw, aby uporządkować sprawy Europy, zawikłane wskutek ciągłych walk Napoleona, przyszło do Kościuszki polecenie z Warszawy, aby wyjechał do Wiednia i dopilnował tam interesów polskich. Sędziwy już natenczas Tadeusz nie ociągał się wcale, lecz pojechał na kongres i tyle swoją powagą a śmiałością zrobić potrafił, że rzeczywiście ogłoszono t. z. kongresowe królestwo polskie, pod berłem cara Aleksandra — i nadano mu pewne swobodniejsze nieco prawa, czyli konstytucyą.

Kościuszko nie poprzestał jednak na tem, że niejakie ulgi przyznano Królestwu, on chciał coś podobnego uzyskać i dla reszty ziem dawnej Polski a zwłaszcza dla swej ojczystej Litwy... Ale wszelkie usiłowania w tej mierze żadnego nie odniosły skutku. Więc zgnębiony opuścił Wiedeń i 13 czerwca 1815 r. udał się do Szwajcaryi, gdzie zamieszkał w uroczem mieście Solurze, położonem w pośród niebotycznych gór, w domu przyjaciela swego Zeltnera. Tam trojakim oddawał się zatrudnieniom: uczył swą chrzestnicę a córkę Zeltnera, którą nadzwyczaj kochał, gospodarował i świadczył liczne dobrodziejstwa. Ubogich sam wyszukiwał, a obdarzał ich hojnie tak, że w całej okolicy zwano go „aniołem biednych". Dla siebie bardzo mało potrzebował. Zadawalniał się chlebem razowym, byle tylko „swoim", jak ich nazywał, nieszczęśliwym mógł przyjść z pomocą. Opowiadają, że miał konia, na którym zazwyczaj jeździł po okolicy. Ten tak był przyzwyczajony, że kiedy tylko na drodze spotkał ubogiego, stawał i dotąd z miejsca się nie ruszył, dopóki żebrak, jakiego datku nie otrzymał. Wprowadzało to czasami Kościuszkę w prawdziwy kłopot, gdyż zdarzało się, że wydawszy już wszystkie pieniądze, spotykał nędzarza. Koń wtedy zatrzymał się, a Kościuszko chcąc go dalszego pójścia przymusić, udawał, jakoby coś w rękę wkładał biedakowi.

Kościuszko kochał też dzieci i zajmował się gorąco sprawą ich wykształcenia. Sam, gdzie mógł, dowiadywał się o ulepszeniach w sposobie nauczania. Podówczas właśnie żył w Ywerden w Szwajcaryi pewien bardzo szlachetny mąż nazwiskiem Pestalozy. Ten zbierał biedne sieroty, wychowywał je starannie i uczył pożytecznych rzeczy. On też pierwszy zaprowadził sposób łagodnego obchodzenia się z uczniami. Szkoła stała się wkrótce sławną. Kościuszko odwiedzał ją kilkakrotnie. W r. 1816 dnia 27 i 28 maja był on obecnym na wszystkich lekcyach. Wypytywał nauczycieli o różne szczegóły, rozmawiał z uczniami, chwalił pilnych i bardzo się cieszył, widząc, jak wiele skorzystały te dzieci w naukach i obyczajach. Marzeniem Kościuszki było, aby podobne szkoły i w Ojczyźnie jego zakładać. Jak mógł więc zachęcał do tego swych rodaków. Zwłaszcza chodziło mu o tworzenie szkół ludowych, skądby wieśniacy mogli czerpać światło mądrości życia. Wiedział bowiem, że „oświata to zbawienie Polski“. Naówczas jednak myśli jego nie mogły się urzeczywistnić.

Zaledwie dzisiaj zdołaliśmy doprowadzić do tego, że wszyscy, najubożsi nawet, posyłają swe dzieci do szkoły, aby wyrosły na rozumnych i zacnych obywateli kraju.

X.

Ostatnie lata życia wielkiego bohatera były spokojne. Bezustannie jednak bolał on nad niedolą Ojczyzny i tęsknił za nią. Myśl jego płynęła zawsze w rodzinne swe strony, a czyny za myślą tuż biegły.

Oto dnia 2 kwietnia 1817 r. Kościuszko zrobił formalny akt udarowania poddanych swoich wolnością. Wszystkich chłopków w ojczystej swej wiosce mieszkających usamowolnił i za młodszych, ale równe prawa mających, braci swych publicznie uznał. Był to jeden z najpiękniejszych jego obywatelskich czynów, ale niestety! ostatni.

C. d. n.

O różnych wadach mleka.

Wiadoma rzecz, że w gospodarstwie, różnie bywa. Czasami idzie wszystko „jak po maśle“, a czasami znów jakby zło jakie przystąpiło, co tylko tknąć, nic się nie wiedzie! Co na przykład czynić ma gospodyni, jeżeli masło się zrobić nie chce? Czasem bywa, że wszystkie dziewki to na zmianę, to znów razem, z pół dnia męczą się nad maślnicą, zachodząc z nią to pod belkę, to znów w samym progu stawiając, gdzie jak wiadomo „cioty“ przystąpić nie mogą; już i parobek sił swoich w południe próbował, przechwalając się, że baby do niczego mocy nie mają, ale i on prędko ze wstydem od maślnicy uciekł. Czasem słuchając rady gospodarza, aby masłu dać spokój, pozostawia się je do następnego dnia, ale i to nie pomaga! Masło jak było uparte wczoraj, tak jeszcze upartsze dzisiaj — burzy się, pieni, ukaże się jak na kpiny w kilku maleńkich kuleczkach, ale bądź co bądź „zrobić“ się nie chce. Nie pomaga ani zimna woda, ani gorąca, ani okadzanie święconem zielem, ani sypanie do maślnicy święconej soli — nie pomaga nawet obnoszenie maślnicy przez cztery granice, co ma być nieomylnym środkiem odpędzenia „czarów“.

Jeżeli miałaś kiedy — miła gosposiu — wypadek taki z masłem, nie martw się, bo zdarza się to i najlepszej gospodyni; a jeżeli może w tej chwili masz takie utrapienie, nie turbuj się! Tego masła już nie zrobisz! Może sparzywszy wrzącą wodą, zdołasz je z biedą zbić trochę do kupy, ale będzie ono białe, gorzkie i na drugi dzień będzie je czuć starzyzną zdaleka — zjełczeje od razu.

Ale jeżeli powiedziałam, że wypadek taki zdarzyć się może i najlepszej gospodyni, to zaraz dodaję, że tylko raz jeden zdarzyć się jej powinno. Pracowita i rozumna gospodyni musi umieć zapobiegać takim wypadkom. Przedewszystkiem zbadać trzeba przyczynę takiego „dzikiego“ maślenia się. To zaś co mówi się o ciotach i czarach, to są żarty.

Przyczyną jest jedynie zbytek kwasu w mleku i śmietanie. Mleko takie już w kilka godzin po udoju zwarzy się przy gotowaniu i zanim śmietana zdąży się wybić, już jest zsiadłe. Zebrana zaś do garnka śmietana idzie w górę, jak młode piwo.

Jest więc zbytek kwasu w mleku, ale skąd i dlaczego?

Aż z trzech przyczyn może powstawać ten kwas.

1. Z zakwaszenia statków mlecznych.
2. Z złej, kwaśnej i niestrawnej paszy.
3. Z grzyba, który się rozpościera w postaci pleśni na ścianach i sufitach piwnic lub komor, gdzie mleko przechowujemy.

Rozumna gospodyni nie będzie próbować kolejno, która z tych przyczyn powoduje u niej zbytek kwasu w mleku, ale weźmie się do wszystkich i odrazu wszystkie „czary“ porozpędza.

Statki mleczne, jak skopki, szafliki, cedzki i t. d. nie wystarczy myć i szorować. Choćby

świeciły z daleka białością i czystością, zakwaszą się wnet, jeżeli się ich nie wyparzy wrzącą wodą. Latem wyparzać je trzeba koniecznie codziennie, zimą wystarczy 1 lub 2 razy w tygodniu. Do wody trzeba wsypać garść sody, a jeśli tej niema pod ręką, włożyć pokrzyw, które przecież wszędzie rosną.

Jeżeli krowy jedzą zepsutą paszę jak: zmarzłe ziemniaki lub ćwikłę, skisiały wywar gorzelniany, zepsute odpadki z cukrowni, stęchłe siano i t. d., to paszy tej nie trawią należycie. Powstają z powodu tego kwasy w żołądku i kiszkach, które też udzielają się mleku.

Najlepiej w takim razie zmienić paszę, a jeżeli tego nie można, to przynajmniej przez zadanie lekarstwa pomódz krowom do należytego trawienia. Zwykłą sól należy dawać krowom codziennie po garści, a oprócz tego do poidła sypać po łyżce natronu magnezyi lub zwykłej uskrobanej kredy.

Bardzo raźnie zabrać się należy do grzyba, który rozsiadł się w piwnicy lub komorze. Innym razem opowiem, co to jest ten grzyb i jakie są życia jego zwyczaje. Dziś tylko zaznaczam, że nie trzeba dać się zwieźć tem, że go nie widać. Jest on tak maleńki, że często dojrzeć go nie można, i dopiero, kiedy rozmnoży się na tysiące milionów, wtedy dopiero dostrzegamy go w postaci pleśni.

Grzyb, o którym tu mowa, najbardziej lubi rozmnażać się w kwasie mlecznym, a rozmnażając się, coraz więcej tego kwasu wytwarza. Nie można zatem cierpieć go w miejscach, gdzie jest mleko, ale niszczyć go trzeba wszelkiemi siłami. Co prawda, niełatwo go zniszczyć, bo życie ma wytrwałe, aleć znów taki maleńki, niepodobna, abyśmy mu rady nie dali. Najlepiej jest nie pozwolić mu wcale zakraść się i zamieszkać tam, gdzie go nie chcemy. Miejsca takie trzeba utrzymywać sucho, często je przewietrzać i co rok bielić świeżo lasowanem wapnem. Jeżeli zakradł się pomimo to, trzeba na niego ostrzejszych użyć środków. Z piwnicy wynieść wszystko, co służy do jedzenia, pozatykać szczelnie wszystkie otwory, okna i t. d., wziąść rozżarzonych węgli, wsypać na nie garść siarki i tak pozostawić, zamknąwszy drzwi szczelnie. Po kilku dopiero godzinach otworzyć drzwi i okna, następnie ściany dobrze omieść i odrapać, a wszystkie sprzęty, stoły, ławy i t. d. obmyć wrzącą wodą. Dym, jaki ulatnia się z siarki zabija wszelkie grzyby doszczętnie. Zamiast siarki można też kupić kwasu siarczanego, i wziąwszy na skorupę kilka garści soli kuchennej, tym kwasem ją nalać. Powstanie z tego także rodzaj dymu, który jeszcze doszczętniej, niż siarka, zabije wszelkie grzyby i pleśnie.

Tego samego sposobu użyć trzeba, jeżeli na mleku ukazują się niebieskie plamy. Mleko takie, pominąwszy, że obrzydliwie wygląda, ale także łatwo ulega zepsuciu, i ani masła, ani sera zrobić z niego nie można. Przyczyną tego jest także grzyb, drobniuteńki braciszek poprzedniego, tylko inaczej zabarwiony.

Czasami bywa też, że mleko „się ciągnie“, jak krochmal, i wprost odłączyć się nie chce od łyżki. Tutaj przyczyną jest tylko zła pasza i niestrawność krów. Jeżeli nie pomoże zadawanie krowom soli, natronu lub magnezyi, trzeba przez niejaki czas nadawać gorzkie korzenie jak tatarak, gen. cyonc. aloës i t. d. Dawać n. p. na dzień 4 łuty gencyany lub tataraku, 2 łuty magnezyi i 1 łut soli. Ponieważ korzenie nie rozpuszczają się w wodzie, przeto trzeba je drobno porżnąć lub sproszkować, z otrębami zmieszać, zrobić pigułkę i krowie ostrożnie po języku w gardło włożyć.

Jeżeli mleko zabarwione jest czerwono, jakby od krwi, należy zbadać przedewszystkiem, czy nie jest chore wymię; czy nie jest stłuczone, lub czy nie tworzą się wewnątrz jakie wrzody. Jeżeli tak jest, to naturalnie wymię wyleczyć trzeba, a mleko będzie zdrowe i czyste.

Jeżeli zaś wymie jest zdrowe, to zabarwienie pochodzi od trujących roślin, jakie często na nizko położonych, mokrych pastwiskach rosną, jak n. p. j a s k i e r w i e l k i, w i l c z o m l e c z i t. p.

Należy więc co rychlej zmienić pastwisko, gdyż dłuższe spożywanie trujących roślin może być przyczyną niebezpiecznych chorób i śmierci bydła. Podobno i świeże pędy sosen i świerków zawierające dużo żywicy, mogą powodować czerwone zabarwienie mleka.

Niektóra pasza, jak zielona gorczyca, liście kapusty lub brukwi nadają mleku smak gorzki, odrażający; na to jedyna rada: zmienić paszę.

W końcu zaznaczyć trzeba, że mleko z powyżej przytoczonemi wadami, nietylko że traci dużo na pożywności i wartości, ale jest wprost niezdrowe i w surowym stanie spożywać go nie można, a już dzieciom pod żadnym warunkiem takiego mleka dawać się nie powinno.

Tem bardziej powinno to skłonić każdą gospodynią, aby do takiego zepsucia mleka nie dopuściła.

J. O.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.